

20 sierpnia [1972]

Prawda jest rzeczą straszną. Ma być dla każdego taka, jaką kto wytrzyma, jaką kto zniesie, jaką kto unieść potrafi.

A już zwłaszcza nikomu swojej prawdy nie objawiać, nie skłaniać do jej przyjęcia, do poznania rzeczy przekraczających siły bliźniego.

Znam dużo takich prawd o życiu, śmierci, miłości, o tym, co kto zrobił, jaki jest. Ale ich nikomu i nigdy nie mówię.

Poznawać siebie? I tu pomyłka. Lepiej znać i wierzyć w swoją lepszą połowę. A mimo to – gdybym potrafił – lubiłbym napisać moją prawdę o Polakach, takich jakich znałem z historii, autopsji i życia. Książka taka byłaby straszna dla Polaków.

Rozumiem, dlaczego Rosjanie nie mogą przełknąć *Listu filozoficznego* Czaadajewa, podróży do Rosji Custine'a, dzieła Kucharzewskiego, dlaczego nie lubią Dostojewskiego, plują dziś na Sołżenicyna, nawet na *Doktora Żywago* Pasternaka. Pamiętnika Nadzieży Mandelsztam też nie chcą, bo nie mogą wydać w Rosji.

Ileż to zwierciadeł tego kraju i narodu powstało w tym kraju! I wszystko na nic, i nawet zagranica nie umie tego odczytać, zobaczyć.

Takich książek o Polsce i Polakach nie ma. Czy to dowód małości czy zmysł samozachowawczy? Sądzę, że jesteśmy zbyt mali, żeby tak siebie widzieć, obraz małości jest gorszy niż obraz okropności. Dla Rosjan Stalin musi być wielki, wygrał wielką wojnę i przedłużył byt wielkiego imperium. Nie może być nawet wielkim zbrodniarzem, który na upodleniu poddanych budował dzieło Iwana, Piotra, Katarzyny i Mikołaja.

My puszczaemy przez radio mazurki i polonezy Chopina. Dochodzę do tego, że tego bądź co bądź dużego muzyka słuchać nie mogę.

Na tym ludzkim żerowisku potrzeba mi bezwzględności, siły, takiej, z której mógłbym być dumny, że należę do tej „społeczności”.

Warszawa, 5 września [1973]

[...] *Petersburg* i *Ogrody* Iwaszkiewicza mnie zachwycają – brak mi paru numerów „Twórczości” z *Petersburgiem*. – Czy ONI to tu wydadzą? Sprawa Polska–Rosja jest w tym bardzo na łożnie, inaczej niż u tych innych Polaków. Cały *Petersburg* Iwaszkiewicza kręci się koło tego. Imponuje mi ten blisko osiemdziesięcioletni człowiek, piszący teraz najlepsze chyba swoje rzeczy.

Człowiek staje się bezużyteczną szmatą, gdy sprawy tego świata przestają go interesować. Jak ten młody święty, co Nadia Boulanger lubi uczniom powtarzać, który bawił się piłką (zapomniałem, o którym świętym ta historyjka. U nas pasowałby do tego św. Stanisław Kostka). Na pytanie: „Co byś zrobił, gdybyś się dowiedział, że umrzesz dziś wieczorem?”, miał odpowiedzieć: „Bawiłbym się dalej piłką”.

Nie wiem, czy to takie ortodoksyjne. Moja formacja katolicka podpowiada mi, że należałoby tu raczej pomyśleć o swojej duszy, żalu za grzechy, które podobno i święci popełniają, o żarliwej modlitwie itd.

Ale niech będzie ta niewinna piłka. Ludziom lżej z taką historyjką, a pasuje ona jak ulał do kursów Nadii Boulanger.

„Co byś robił, gdybyś wiedział, że jutro będzie koniec świata?”. „Bawiłbym się dalej piłką”. Tego przykazania świat się trzyma, chociaż wiele znaków na ziemi i na niebie wskazuje na to, że podnosi się na naszej ziemi fala i strachu, i eschatologicznego niepokoju. Obok bezmyślności, ile niewiary w nasz los, jakie zniechęcenie, by przyjąć jakiegokolwiek rygory formalne, nadrzędne. Czy znajdziemy formę dającą to minimum „swobodnego rozwoju”, który zdawał się być ideałem i rezultatem myśli europejskiej od renesansu poprzez XVIII i XIX wiek?

Sacharow, Sołżenicyn, Amalryk zagrożeni w Rosji – kaganiec, procesy, świadectwa i apele stamtąd się mnożą, tymczasem ks. Filip, mąż królowej angielskiej, w Moskwie i Kijowie wdzięczy się do Podgornego i Brezniewa, koegzystencja, odprężenie, dalszy ciąg postawy monachijskiej, gdy wszyscy wierzyli Hitlerowi.

Bawimy się piłką.

[27 VII 1978]

Znowu zaglądam do Mickiewicza. Przypadkowo otwieram – Księga V. Jak Telimena patrzy w lustro, kalkuluje, Tadeusz czy Hrabia? „Wszystko to Telimena dokładnie wiedziała, bo i rozum, i wielkie doświadczenie miała”.

Geniusz Mickiewicza – skąd on to wszystko wiedział o ludziach, czy *Pan Tadeusz* jest satyrą czy tylko gawędą szlachecką – „ostatni zajazd na Litwie”? Jakim cudem Petersburg, Rzym i Paryż nie zmeły Mickiewicza na proch, skąd to górne czy równorzędne spojrzenie na świat i – wreszcie – ten lokalny procesik kilkunastu studentów, z którego powstają *Dziady* – rasa lokalna strzelona w niebo, dopominająca się o sprawiedliwość, sąd i zmiłowanie.

Dopiero na starość doceniam i rozkoszuję się tym, co potoczne, zwykłe, codzienne i tak zobaczone, dostrzeżone. Te wszystkie: „Lecz co powiedzą ludzie?... Mam im zejść z oczu, w inne

strony wyjechać, mieszkać na uboczu; lub co lepsza, wynieść się całkiem z okolicy, na przykład zrobić małą podróż do stolicy, młodego chłopca na świat wielki wyprowadzić” itd.

Co wiesz to Volltreffer, strzał w dziesiątkę. Tak pisali i Mozart, i Bach. W literaturach narodowych *Pan Tadeusz* jest zdumiewającym fenomenem. Tylko ślepi tego nie widzą, nie dorośli do tej zwykłej rozumności, celności, rozsadzanej nagle inwokacyjnymi opisami, jakiejś lawy, która zastygła w formie.

4.35 rano, 18 sierpnia [1978]

Po dwóch godzinach snu nagle przebudzenie, niebo już jaśniej, staje się jasnogrnatowe. Miałem najautentyczniejszy sen erotyczny, właśnie dziś, u progu mojej 74. wiosny. Może to idiotyczne notować o takiej porze, ale spać już nie mogę.

Szedłem z moją matką, uciążliwie, tak jak ona, gdy przyjechała do mnie na Bukowinę zimą, czy wczesną wiosną i pojechaliśmy nad Morskie Oko. (Miała wtedy 61 lat, była więc 12, 13 lat młodsza ode mnie dziś! Przecież ja, temu 12 lat, jeszcze dosyć sprawnie chodziłem na górskie spacerzy w górach, w Vaduz...). A teraz, we śnie, szedłem bardzo niesprawnie, ledwie się wlokłem. Aż na bystrym, ośnieżonym stoku zobaczyłem grupę żołnierzy. Młodzi chłopcy, sto razy piękniejsi od tej szarej masy jenieckiej, która mnie przez 5 lat otaczała w obozie, gdzie tylko parę razy prawdziwie pięknych, rosłych i pełnych życia chłopców spotykałem. Tu wszyscy byli pełni życia, ale leżli ostrożnie po bystrym stoku. Zawołałem wtedy na nich, żeby dali szusa i pierwszy dałem szusa, bez nart, w dół po gładkim śniegu, a oni za mną. Dopiero na dole odbyła się autentyczna „scena miłosna” – byłem bez wieku, zostało tylko poczucie wstydu-strachu i strachu-grzechu, który mi od dziecka wpajano. Teraz, zbudzony, myślę o wyznaniach starego Gide’a, które mnie zawsze brzydzą, gdy ten starzec chwali się swoimi sukcesami z młodymi chłopcami – gdzieś w moim będąc wieku. (Nie sprawdzam w wydaniu Plejady, które mam na półce nad sobą). Tu – żadnego obrzydzenia, wszystko odbyło się we śnie na dole tego ośnieżonego stoku i – nawet – nie tylko z namiętnością, ale i tą czułością erotyczną, której tak mało w życiu zaznałem: z paru kobietami, co mnie zawsze raczej niecierpliwiło, i – chyba – nigdy z chłopcami, co uważałem za śmieszne, czego sam nigdy nie szukałem; nie lubiłem się nawet z nimi całować. Dziś, we śnie, wszystko się to spełniło. Zbudziłem się półodurzony – trochę ze strachu, że nas niepożądani świadkowie „nakryją”, zobaczą, co zawsze przeżywałem przy moich dorywczych kuszowaniach, zazwyczaj na dworze, w parkach lub – gorzej jeszcze... Ale zbudziłem się z jakąś siłą i ochotą do życia, którą daje tylko erotyzm, miłość – którego to terminu nie lubię, a o którym naczytałem się w *Oper und Drama* Wagnera – *die Liebe*, o której pisze on w sposób niecierpliwiący mnie.

Józio Czapski, Jaś Tarnowski, ile to razy mnie gromili za brak miłości, za to kalectwo... W jakim stopniu mieli rację? Teraz niecierpliwią mnie, niecierpliwi mnie już sam wzrok, tak mi

„oddany”, Mini. Przy całej tej dezorganizacji dnia, godzin, projektu tych dni i godzin, którego zrobić ani dokonać ona nie może. A teraz, spóźnione o 40 lat, wszystko to samo, gdy ja – nawet we śnie – szusuje po śniegu z gromadą chłopców, których moim przykładem porywam. Oto sen – dar urodzinowy?!

Jest piąta rano. Wracać do łóżka? Korzystać z daru chwili? Mamże siłę sięgnąć do papieru – pięciolini? Nie, nie mam, ale po cichu, żeby Stasia nie zbudzić, zrobię sobie filiżankę Nescafé z mlekiem...

Już dnieje. Moje nieliczne świty. Zawsze olśnienie, gdy dnieje i gdy widzę, jak słońce wschodzi. Ale tu nie widzę. Wschodzi za ścianą, za domem, wschodzi nigdzie – w zduszeniu miasta, a ja jestem ze wsi, której już nie ma, która już tylko mało gdzie istnieje, chociaż jeszcze są drzewa, lasy, pola i łąki. Pokosy, pełne zapachu skoszonej, potem więdnącej trawy, siana, które tak dobrze znam, gdy korzystałem z okazji, ukradkiem, szybko, w uniesieniu. Kiedy to było? Bo przecie nie zdaje mi się to teraz? Czemuż to erotyzm francuski tak mnie dzisiaj irytuje – nawet ten, panoszący się w ich pismach, reklamach, wszędzie? Czy to tylko starcza irytacja, czy coś innego, coś więcej – a może coś mniej?

Łatwiej mi tak trzy po trzy pisać niż siadać do nut. Szkoda, powinno być odwrotnie.

Może to wszystko sprawiła wczorajsza opera *Egisto* Cavalliego, z jej cudownymi, a przecie retorycznymi zwrotami?

Siadam do nut. Trudno! Jak umrę, to chyba z bezsenności, w nocy; albo we śnie.

Jaki sens ma to głupie powiedzenie, że każdy ma taką śmierć, na jaką zasłużył? To nieprawda. Widziałem sporo śmierci. Czasami było tak, czasami inaczej. Zasłużone i niezasłużone. Kaleki, chorzy, umierający, paleni w piecach, głodujący – dzieci z ogromnymi głowami i brzuskami, na pajęczych nogach. Przyroda wreszcie, wiwisekjonowane owady, szczury, psy, ludzie. Ludzie też. Odwracać głowę od palonych na stosie, wieszanych rzędami, czy przyglądać się, jak renesansowi malarze, jak tłumy – od zawsze – gdy ogłaszano publiczną egzekucję?

Śni mi się miłość. Płakać, śmiać się, czy patrzeć w różowiejące niebo i znaczki na pięcioliniach, które znaczą nie tylko rytmy, wysokości i wartości, ale i to – wagnerowskie – *Unaussprechliche*...

Siadam do nut. Może dlatego, że jest tak cicho.

*Nieborów, 4 listopada [1978]*

Od dziecka intrygowało mnie, niepokoiło, jak to jest naprawdę. Dobrze pamiętam, jak wyobrażałem sobie, że starsi to wiedzą, nie mówią nam tego jednak dla niejasnych i nie zbadanych

przeze mnie przyczyn. Nie mieściło mi się w głowie, że mój ojciec czy matka mogą czegoś nie wiedzieć. Czegoś – to znaczy, jak to jest naprawdę. Mówią nam rzeczy zdawkowe – bo jestem mały. Gdy będę duży, to będę wiedział. Dowiem się wszystkiego. Ile miałem lat, gdy dziecinne wyobrazenie Bozi przemieniło się w nudę, żeby skończyć kolejne Zdrowaś Mario, Ojcze nasz, Wierzę w Boga, Aniele Boży stróżu mój i na końcu Wieczne Odpoczywanie, w którym wymieniało się Dziadzia, potem Bunię, a potem dodawanych kolejno bliskich – w rodzinie, tylko w rodzinie – zmarłych? Gdzieś, chyba 10 lat miałem, gdy zaczęła mnie prześladować myśl, dlaczego to Pan Bóg ogromny i niewidzialny (przecie nigdy go nie widziałem) chce i żąda, żebyśmy go ciągle chwalili? Czemu? I czy możliwe, żeby się na nas obrażał o byle co, że jestem niegrzeczny – czy to możliwe, żeby on się tym naprawdę martwił? Nie obrażaj Boga, nie martw Pana Jezusa, który za nas cierpiał i tak dalej aż po piekło, którego nigdy się nie bałem. Nie mogłem pojąć, żeby nas Pan Bóg mógł karać wiecznym potępieniem – nawet tych złych, najgorszych, którzy ani jednemu z dziesięciorga przykazań nie są posłuszni.

Tak się zaczęło. Spowiadałem się pilnie, niedzielne msze św. nudziły mnie coraz bardziej, a gdy zaczęły się pierwsze grzechy – bardzo wcześnie – onanizm, a potem z Franką, służącą babci, i zaraz potem z chłopcami, nie mogłem już nigdy szczerze oświadczyć, że postanawiam, że już nigdy, że będę unikał wszelkich okazji – okazje były przecie na każdym kroku, bez przerwy, moja namiętność wzmagala się i trwała – ile? Przez całe życie. Teraz patrzę na to z wysokiej trybuny, starości; śmiesz mi drzenie staruszków na widok młodości, ale jej widok wzrusza mnie tak samo jak wtedy, gdy miałem 15 lat, czy mniej.

Nie mamy niczego, co by zastąpić mogło psalmistę „Ciebie Boże chwalimy”, i niczym nie zastąpimy tego zmartwienia boskiego, tego, co cierpi, że jesteśmy grzeszni, słabi, skazani na życie i śmierć, po której tylko zmartwychwstanie przyjsć może, bo bez niego załame się poczucie sensu, logiki, przyczyn i skutków.

*Introibo ad altare Dei.* Tu uklęknij.

Gdy zachwycalem się *Stabat Mater*, Szymanowski powiedział mi lekko, ale z zamyśleniem: „Tak, napisałem to wszystkimi resztkami mojej religijności, jakie znalazłem”.

A może powiedział nie „jakie znalazłem”, ale – „jakie z siebie mogłem wydobyć”. Coś mnie wtedy jakby uklęło. Wydało mi się, wydawało, że taką rzecz można skomponować tylko naprawdę całym sercem, całą duszą, wiarą. Dzisiaj rozumiem. Przecie nikt nie ma całej wiary; całą duszą i sercem nie może wierzyć; wiara jest jak miłość, dążeniem, drogą. Widać to, odczuć można już w pismach ojców Kościoła, u mistyków (św. Augustyn, Teresa d’Avilla, św. Jan od Krzyża) – to jest ciągła walka z niewiarą, utwierdzenie swoich miłości, które tak często są wręcz erotyczne.

Co to za stwór, człowiek! Nawet jego logika jest aberracją, gdy się w dociekaniu logicznym pogrąży.